

Weatherley Chesney.

SZTYLET.

(Z angielskiego tłumaczył H.).

14

Mr. Gates zrozumiał, że posunął się za daleko i spróbował ułagodzić jego gniew.

— Na Boga Richmondzie, ja zwaryuję! Wierzę mi, mam dosyć trosk, a ty jeszcze napadasz mnie twoimi niesłusznymi wyrzutami. Gdybym miał pieniądze, podzieliłbym z tobą ostatni grosz. Starych przyjaciół nie zapomina się tak łatwo. Weź to ostatnie złoto, jeśli ci to wystarczy, cztery szylingi zostaną dla mnie na dzisiaj, a potem apres cela le déluge.

Dr. Fitzgerald odmówił dumnym ruchem.

— Zachowaj swoją mamonę, obraziłeś mnie, mnie, dr. Fitzgeralda z Waterford, uniwersytet Oxfordzki. Idę, moja godzina wybije jeszcze, bądź zdrow.

Drzwi zatrzasnęły się z hałasem, a Gates odetchnął z ulgą.

— Co się mu stało, staremu dziwakowi, grozi mnie? Dzięki Bogu, nie ufałem mu nigdy. Co, znowu ktoś? Proszę!

Drzwi otworzyły się znowu. Wszedł kapitan Brett. Nastąpiła rozmowa, którą już znamy.

Kiedy i ten drugi gość go opuścił, Mr. Keighley nie posiadał się z wściekłości.

— To tak! Ten kapitan Brett z królewskiej marynarki ma nos wyżła policyjnego. Piękny talent! Szkoda tego młodzieńca, zapoznał swój talent! Świętej pamięci Sherlock Holmes byłby miał z niego pociechę. Tak, tak mój młodzieńcze. Zaczynasz stawiać się za mądrym. Musimy cię wziąć w kuratelę i to jak najprędzej, chodzi tylko o to, jak to zrobić. Raz już znalazłeś się w bezpiecznym schronieniu, gdyby grę jeszcze raz powtórzyć, ale jak? Zaraz, a możeby... nie, to na nic. Na to on się nie złapie. A może by ta młoda panienka? Doskonała myśl! Tu go trzeba dostać. Zazdrość? Trudno. Brawo, już mam!

Mr. Keighley Gates klasnął z tryumfem w ręce, wąskie usta ściągnęły mu się w szyderczym uśmiechu. Tak wyglądał prawdopodobnie Mefisto, gdy Faust pisywał mu swą duszę.

— Tak, tak, mój drogi kapitanie! Przytniemy ci cośkolwiek skrzydeł i to zaraz.

Sięgnął po atrament i pióro i napisał, a twarz promieniała mu radością:

— Kochany Richmondzie! Daruję, proszę, zły humor z dzisiejszego ranka i przyjdź jak najprędzej do mnie. Muszę naradzić się z tobą nad bardzo ważnymi planami.

Zaadresował list, wypisując jakąś mało znaną ulicę wschodniego Londynu i zadowolony z siebie udał się na spoczynek.

Ściemniało się już, gdy go zbudzono. Dr. Fitzgerald nadszedł w doskonałym usposobieniu i był wesoły, nawet sarkastyczny.

— Puls — mruczał, lokując swoje drobiazgi toaletowe — hm, febryczny; język... hm obłożony. Recepta!

Usiadł i pisał, poczem nacisnął dzwonek i polecił kelnerowi:

— Chłopca do apteki, flaszka na rachunek p. Gatesa.

Zajął miejsce przy łóżku i pozostawił Mr. Gatesowi, aby on nawiązał rozmowę.

— Richmondzie — zaczął tenże słodkim tonem, pełnym zadowolenia i przyjaźni — mam dla ciebie dwie rzeczy, które muszą zaraz być zrobione. Należy zrobić dobry połów i uprowadzić dziewczynę.

— Miasto czy wieś?

— Miasto. Ogród Wery.

— Oba?

— Oba w jednym miejscu.

— Złe miejsce, policyja pod ręką.

— Nie da się inaczej. Dziewczynę trzeba jutro zabrać i ty to zrobisz.

— Dokąd?

— Gdzieś do ustronnego domu.

— Miłość?

— Nie, Richmondzie słuszną zemstą.

— To już lepsze, opowiadaj.

— Znasz przecież tego kapitana Brett'a?

— Jeszcze jak!

— To jego narzeczona.

— Doskonale! Dalej!

— Człowiek ten zaczyna następować mi na pięty.

— Andley Street?

— Tak i muszę go się bardzo strzedz. Jedno nieopatrne słowo, a złapie mnie. Ma się rozumieć, z morderstwem nie mam nic wspólnego, ale częściowo jestem wpłątany w całą sprawę i chętnie bym się draba pozbył. To zaś może się stać, gdy go czem innem zajmiemy. Niech dziewczyna zniknie, to rzuci się z całą energią na poszukiwania, a ja będę miał spokój.

— Hm... a co za to?

— Pięćdziesiąt funtów; połowę rano, resztę skoro rzecz zostanie załatwiona. Gdybym miał pieniądze, dałbym ci połowę od razu, ale dostaniesz ją na pewno. Zamówiłem Glashera na wieczór, kupi on brylanty, a także i futro, o ile połów się nie uda.

Uśmiechnął się kwaśno.

— Czy tam jest co do zdobycia?

— Ludzie bogaci; w każdym razie stary ma pokaźny zapas srebra stołowego. Ma się rozumieć, będzie zrozpaczony, kiedy dziewczyna zniknie. Nie będzie mógł w nocy spać, pozostawimy też ślad, za którym pójdzie, aby nam pole oczyścić. Mam zamiar posłać go do Gloucester, a wtedy zabierzemy się do roboty.

— Hm, to i wój wydział, ja zabiorę się do dziewczyny. Plan ułożony?

— Tak. Zajedziesz przed dom dorożką, ma się rozumieć zamkniętą i powiesz, że kapitan uległ gdzieś daleko wypadkowi i wzywa ją do siebie. Ona wystraszy się ogromnie i ani chwili nie będzie się namyślała. Nie będziesz miał żadnych trudności. Zrób to jednak po południu, kiedy stary jest w klubie.

Fitzgerald namyślał się.

— Uprowadzenie, niebezpieczna historia. Powiedzmy... sto. Bob, pięćdziesiąt osobno, jeśli nam się połów uda. Naturalnie, podzielimy się?

— Top — przyświadczył Gates — wiesz przecież, że jestem rzetelny.

— Dzisiaj rano byłeś szafanem, mój drogi. Gates uśmiechnął się. Po omówieniu jeszcze kilku szczegółów, oddalił się Fitzgerald.

W pół godziny potem przybył do Gatesa jeszcze jeden człowiek o żydowskim wyglądzie, który kazał się zameldować, jako Mojżesz Glasher. Rezultat dwóch zadowalniających konferencji i recepty dr. Fitzgeralda był ten, że godny kompan zasnął spokojnym snem, którym zakończył jak niewinne dziecko przy owocnej pracy spędzony dzień.

ROZDZIAŁ XIV.

Narada.

Dopiero na drugi dzień rano mógł kapitan Brett odwiedzić Mabel i opowiedzieć jej o swej wizycie u Mr. Keighleya Gatesa. Ranna poczta przyniosła także list od Wraya. Wsadził go pośpiesznie do kieszeni i pośpieszył do narzeczony.

Po serdecznym powitaniu, zapytała Mabel troskliwie:

— Jakie nowe wiadomości przyniosłeś mi, Duncanie?

— Zupełnie nowe fakta, Mabel. Zdziwisz się. Wyobraź sobie, Gates sam wsadził ową fotografię do albumu.

— Mr. Gates? Jakże dziwne! Z jakiego powodu to zrobił?

— Moja droga, to właśnie i ja chętnie chciałbym wiedzieć. Faktem jest, że on właśnie i to z naciskiem zapewnił mnie, że on tego nie zrobił i co dziwniejsze, że uczynił to nie zapytany zupełnie o to przeze mnie. W biurze policyjnym dowiedziałem się zaraz potem, że właśnie jego widziano przy tej robocie.

— Dziwne. Jakiż interes miałby Mr. Gates w tem, aby tak postąpić?

— Jest to dla mnie zagadką, właściwie nic dotychczas o tym człowieku nie wiem. Czy on był przyjacielem Jerzego?

— Właściwie nie, tylko znajomym. Jerzy poznał go gdzieś w towarzystwie i upodobał sobie w jego ciekawych opowiadaniach. Jak wiesz, Jerzy jest namiętym sirzelcem. Gates opowiadał mu wiele o swych przygodach i zaprosił go nawet, aby pojechał z nim do Zambezi, aby tam zapolować na słonie. Zdaje się jednak, że Jerzy nie dowierzał właściwie temu człowiekowi, inaczej byłby nie ominął sposobności użycia takiej przyjemności.

— Pomyśl, Mabel, może przypomnisz sobie coś odnośnie do tego człowieka, co bodaj choć-

by w luźnym związku pozostaje z nim i naszą sprawą.

— Nie, nie, chociaż.. czekaj no! Wiesz, on był u nas w tym dniu, kiedy wieczór popełniono ów mord; wtedy zwrócił nawet specjalną uwagę na sztylet, który wisiał na ścianie w pokoju Jerzego, a który spowodował, że podejrzenie zwróciło się przeciwko Jerzemu. Jerzy odwiedził mnie potem i narzekał na tego człowieka. Podobno on, Gates, poczynił wobec niego szereg uwag z powodu Harriety Staples i doradzał mu, aby z nią zerwał. Mój brat uważał to wystąpienie za wielki niefakt, tem bardziej, że o tej sprawie nigdy z nim nie mówił. Dał on mu to też dobitnie do zrozumienia. Przypominam sobie, że Jerzy był bardzo wzburzony.

— Co Gates powiedział na swe usprawiedliwienie?

— Podobno oświadczył, że uczynił to ze szczerej przyjaźni dla Jerzego.

Był to frazes bez znaczenia. Brett sam nie mógł nic ujemnego powiedzieć o Gatesie, prócz tego, że go okłamał odnośnie do fotografii. Nie sądził jednak, aby mieszał się w tę sprawę tylko z przyjaźni. Mógł się jednak mylić.

— Nie mamy powodu łamać sobie nad tem dłuższej głowy — oświadczył wreszcie Brett — nie stwierdzimy właściwych powodów jego postępowania. Należałoby mu udowodnić, że skłamał w sprawie owej fotografii, ale jak mam to zrobić? Wprost napaść nie mogę na niego, gdyż wyraźnie przeciw współnictwu z tą sprawą się wobec mnie zastrzegł.

— Dobrze więc, Duncanie, musimy się go strzedz. Jeśli on fałszywie wobec nas postępuje, wcześniej lub później zdradzi się z tem.

— Dostałem dzisiaj rano także list od Wray'a — zauważył Brett po chwili. — Podaje żądany rysopis brata Lady Florence, przedstawia go jako człowieka młodego, blondyna, z szeroką szramą na czole. Znak ten pochodził z czasów młodości, a był następstwem uderzenia głową przy upadku o kratę kominka. Kiedy opuszczał dom rodzinny, szrama była dokładnie widoczna i zapewne do dzisiaj taką pozostała. Był bardzo wysoki, blisko sześć stóp. O ile wiem, nie stracił ręki. Niestety, to wszystko, co mogę ci donieść.

Mabel słuchała bardzo uważnie, wreszcie zawołała.

— W takim razie ów aktor jest jej bratem!

— Ja to samo przypuszczam. Rękę stracił widocznie już po opuszczeniu domu rodzinnego.

Wzburzenia i troski ostatnich dni wypisały się dokładnie na twarzy Mabel. Duncan obserwował ze smutkiem, jak była blada i znużona. Dotychczas trzymała się bardzo dzielnie, siły jej jednak dobiegały do kresu. Kiedy obecnie podczas gdy naradzano się nad tem, co należy w najbliższym czasie przedsięwziąć, nerwy jej odmówiły posłuszeństwa i wybuchnęła gorzkim płaczem. Brett usiłował uspokoić ją, używając wszelkich słów, jakie mu dyktowała gorąca miłość, ale wszelkie wysiłki były daremne.

— Ach, Duncanie, Duncanie! najmniejszej nadziei nigdzie nie widzę. W przyszłym tygodniu zaczyna się rozprawa sądowa, a ty nic jeszcze nie osiągnąłeś twoimi staraniami. Wszystko, co możemy przytoczyć w obronie Jerzego, wobec sądu nie ma żadnego znaczenia.

— Droga Mabel, uspokój się, bądź znowu dzielną moją towarzyszką, tak jak dotychczas nią byłaś. Czy mamy teraz rezygnować, opuścić bezsilnie ręce, gdyśmy już dokładnie zbadali życie tej kobiety, wykryli jej prawdziwe nazwisko, poznali jej rodzinę i rozjaśnili historię wszystkich przeżyć, jakie ją spotkały od chwili, gdy dom opuściła. Każda chwila może teraz przynieść wyjaśnienia, które dopomogą nam do wykrycia mordercy. Chodź, drogie dziecko! Zrozum, że potrzebuję całej siły duchowej, aby spełnić trudne me zadanie i wprost żyć nie potrafię, gdy widzę, jak ty tem się dreczysz.

Mabel wysiłkiem woli opanowała łkanie i otarła łzy.

— Masz rację, Duncanie, było to niesprawiedliwe z mej strony, wielkim egoizmem. Chce być odważną!

Skinęła mu przyjaźnie głową, ale bolesny jej uśmiech ukłuł go w serce.

(Ciąg dalszy nastąpi).